

IDŹ DO

PRZYKŁADOWY ROZDZIAŁ

KATALOG KSIĄŻEK

KATALOG ONLINE

ZAMÓW DRUKOWANY KATALOG

TWÓJ KOSZYK

DODAJ DO KOSZYKA

CENNIK I INFORMACJE

ZAMÓW INFORMACJE
O NOWOŚCIACH

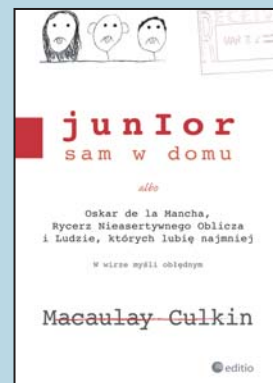
ZAMÓW CENNIK

CZYTELNIA

FRAGMENTY KSIĄŻEK ONLINE

Junior sam w domu albo Oskar de la Mancha, Rycerz Nieasertywnego Oblicza i Ludzie, których lubię najmniej

Autor: Macaulay Culkin
Tłumaczenie: Jacek Mikołajczyk
ISBN: 83-246-0801-X
Tytuł oryginału: Junior
Format: A5, stron: 224



Czym jest Junior?

Jest negacją życiowego racjonalizmu. Jest antidotum na wszystko, co przyziemne. Jest wyrafinowaną kontrą dla czczej paplaniny o karierze, gwiazdach, pieniądzach, a także parodią pseudofilozoficznych porad życiowych. Ten zjadliwy monolog przekreśla wszystko, co tuzinkowe i możliwe do ogarnięcia przez rozum. Przeciętny homo sapiens skończy lekturę z zawrotem głowy.

No to jak: przyjmujesz wyzwanie czy wolisz nadal tkwić w miłym, znajomym bajorku codzienności?

Autora tej książki – Juniора – na pewno znasz. To najśłynniejszy dziecięcy gwiazdor Hollywood. Czyli kto? Malec, który grał w filmach „Kevin sam w domu”, „Richie Rich”, „Wszyscy święci” i kilkunastu innych. Teraz jest już dorosły i postanowił napisać pamiętnik. Ale nie pisze w nim o swojej sławie i fortunie ani o tym, że już w wieku czternastu lat mógł sam decydować o swoim losie. Nazywa siebie Rycerzem Nieasertywnego Oblicza, a ta książka to wyciąg z jego wciąż dziecięcej wyobraźni.

No dobrze, ale co możesz w niej znaleźć? Jest tu całe mnóstwo pozornie niezwiązanych ze sobą historii. Siedmiokrotnie będziesz ją kończył. Jeszcze więcej razy przeklinał. Poczujesz się tak, jakbyś układał wielkie puzzle. Czy to szalone? Tak. Ale to ten rodzaj szaleństwa, w którym kryje się pewna metoda.

Koniec

Część pierwsza

Koniec mój

WYJĄTKI Z MOICH NIEDOKOŃCZONYCH WSPOMNIENÍ
ZATYTUŁOWANYCH *ŻYCIE I CZASY MAŁPIKA JASIA*

s. 2

Skoro już siedzę tutaj i zaczynam pisać coś, co można nazwać historią mojego życia, chciałbym przypomnieć Czytelnikowi, że wiele rzeczy, które mi się przydarzyły albo które przynajmniej wydają się na tyle interesujące, żeby o nich pisać, miało miejsce w moim wczesnym dzieciństwie. Dlatego jeżeli nie uda mi się opowiedzieć tej historii w sposób uporządkowany, nie będę trzymał się faktów albo będę przeskakiwał

swobodnie z jednego momentu życia do innego, niech Czytelnik nie czuje się zaskoczony. Moje życie w moich oczach oraz moje życie w oczach innych to dwie zupełnie różne historie.

BRAK FRAGMENTU

S. 8

...jedyną pociechą jest to dla mnie to, że w momencie, gdy ktoś będzie czytał te słowa, większość osób, o których piszę, prawdopodobnie nie będzie już żyła.

BRAK FRAGMENTU

S. 55

...to właśnie wtedy zaczęło się gapienie. Pamiętam dosyć dokładnie, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy. Miałem właśnie przepustkę z cyrku i spędzałem czas z moimi braćmi. Siedzieliśmy w pokoju gdzieś na Florydzie i graliśmy w jakąś grę wideo, kiedy coś przyciągnęło mój wzrok. W oknie pojawiła się twarz. Ponieważ szybko zniknęła z widoku, nie przejąłem się tym i wróciłem do gry. Za chwilę pojawiła się jednak znowu i tym razem była o wiele wyraźniejsza. Właściwie nie była to jedna twarz, ale trzy. Przy naszym oknie stała trójka dzieciaków w moim wieku. Wystarczył mi jeden rzut oka, żeby ich rozpoznać. W ich oczach malowało się oszołomienie, szczęki opadły im, jak gdyby byli postaciami z komiksu, a po chwili dali nura i śmiejąc

się, zaczęli uciekać. Moi bracia i ja upuściliśmy konsolę video i podbiegliśmy do okna, żeby zobaczyć, co się stało, ale w tym momencie dzieci ile sił w nogach uciekały już na swoich rowerkach.

Wtedy to zrozumiałem. Znałem tych chłopców. Widziałem ich już wcześniej, u nas, w sąsiedztwie. Nie pamiętałem ich imion, ale znałem ich. Mielismy wspólnych kolegów. Kiedyś byliśmy tacy sami.

Od tego momentu wiedziałem, że nic już nie będzie takie samo. Miałem inny zestaw reguł, swój własny, dotyczący tylko mnie.

BRAK FRAGMENTU

S. 98

— KA-CZU-CHY! KA-CZU-CHY! — wrzeszcze-
li, ile sił w płucach. Prawdziwy tłum fotoreporterów, trzy
albo cztery rzędy, skandował to, kiedy usiłowałem prze-
drzeć się przez ich szpaler przed nowojorską premierą
mojego najnowszego wieczoru cyrkowego. Wiedziałem,
czego chcieli — przecież robiłem to wcześniej tyle razy,
że w końcu straciłem rachubę (nie żebym dokładnie li-
czył). W całym tym morzu głosów ledwo byłem w stanie
usłyszeć, co mówili.

— Hej, hej, Małpik! Popatrz tutaj — dotarł
do mnie zdesperowany głos jednego z nich, stojącego
w ostatnim rzędzie.

— Te, Małpik, tańcz! Zatańcz kaczuchy — krzyk-
nął inny.

W pierwszym rzędzie dostrzegłem fotoreporte-
ra, który wydał mi się szczególnie napastliwy, jakby

był na niezłym hajcu albo zwyczajnie rąbnięty. Wrzeszczał: „KA-CZU-CHY!” tak długo i głośno, że jego głos w końcu zamienił się ochrypły i bulgoczący warkot. Miał czerwoną twarz i wydawało mi się, że zaraz eksploduje.

Uczestniczyłem w takich premierach już dziesiątki razy. Byłem przekonany, że jest to dla mnie bułka z masłem. Jednak tego wieczoru było inaczej, wyczuwałem coś złego. Coś wisiało w powietrzu. I nagle wszystko wokół mnie zaczęło wirować. Nie mogłem oddychać. Fotoreporterzy wrzeszczeli tak głośno, że nie byłem w stanie nawet myśleć. Flesze z aparatów były tak jasne, że nic nie widziałem.

W momencie takim jak ten, szczególnie gdy jesteś trzynastolatkiem, nie myślisz: „O, to interesujące, dopadł mnie atak paniki”. Instynkt każe Ci raczej uciekać. Chcesz biec, wynieść się z miejsca, w którym jesteś, tak szybko, jak tylko się da — zanim pod Twoimi stopami otworzy się wielka dziura i świat połknie Cię na zawsze. Zrobiłem więc to, co kazał mi ucisk w żołądku: zacząłem biec. Było mi wszystko jedno, co pomyślą o mnie ci ludzie i jak bardzo jest to nieprofesjonalne — wszystko jedno. Musiałem się stamtąd wyrwać. Natychmiast.

Powiedzmy oględnie, że tłum nie zareagował współczuciem. W momencie, gdy dotarłem do foyer teatru, zanim jeszcze udało mi się złapać oddech, z zewnątrz dobiegł mnie donośny chór pohukiwań i gwizdów. Najwyraźniej nie uszczęśliwiłem fotoreporterów tym szybkim i nagłym wyjściem — no i zdaje się, że mieli zamiar zapoznać z moim haniebnym czynem resztę świata. Ale było mi wszystko jedno. Cały mój umysł pracował pod dyktando instynktu samozachowawczego i nie myślałem w tym momencie ani o mojej karierze, ani o karierach jakichś podrzędnych paparazzi.

I wtedy opadło to na mnie jak fala: wstyd. Zacząłem przebiegać tłum wzrokiem. Zauważyłem parę przyjaznych twarzy. Należały one do ludzi, których zaprosiłem na mój wielki wieczór. Rodzina, przyjaciele, wszyscy słuchali gwizdów dochodzących sprzed teatru, w którym odbywała się premiera. Jak *ja* mogłem do tego dopuścić? Jak oni mogli mi to zrobić na oczach wszystkich, i to w mój wieczór?

W tym momencie poczułem klepnięcie w ramię. To była młoda pani z działu reklamy nowojorskiego cyrku.

— Wydaje mi się, że powinienes tam wrócić — szepnęła mi do ucha.

„Oczywiście, że nie” — pomyślałem. Po tym, jak mnie potraktowali, po tym, jak poniżyli mnie na oczach wszystkich, nie jestem im nic winien. Nie muszę im niczego dawać.

Wtedy poczułem drugie klepnięcie w ramię. To był mój ojciec. Nie powiedział ani słowa, ale wiedziałem, czego chce. Jego wzrok rozkazywał mi tam wrócić. To była moja praca — wrócić tam.

Spuściłem więc głowę, podniosłem ogon i podszedłem do drzwi. Oczywiście, tłum fotoreporterów nie przywitał mnie oklaskami. Wszyscy wrzeszczeli: „KA-CZU-CHY! KA-CZU-CHY!”. No więc zatańczyłem kaczuchoy, zdając sobie sprawę, że właśnie dobijają ostatnią cząsteczkę radości, jaką sprawiała mi moja praca.

Nigdy nie zapomnę tego wieczoru i tego, czego mnie nauczył. Wstydu za nich — za to, co robili. Wstydu za siebie — za to, że im na to pozwoliłem.

BRAK FRAGMENTU

...było to właśnie w tym czasie, kiedy zacząłem prze-wartościowywać na nowo moje życie oraz moje relacje z rodziną.

Gdy miałem już za sobą całą tę robotę jako Mał-pik Jaś i mimowolnie wymazałem z pamięci wszystkie wspomnienia z tej epoki, zdałem sobie sprawę, że po-jawiła się przede mną wielka szansa. To nie było prze-kleństwo; to było błogosławieństwo. Znajdowałem się w jednym z tych rzadko zdarzających się momentów, kiedy mogłem wymyślić swoje życie na nowo, zaplano-wać je zgodnie z tym, czego oczekiwałem. Po raz pierw-szy w życiu miałem sam za siebie podejmować decyzje, mając przed oczyma wyłącznie moją własną korzyść. Świat kręcił się wokół mnie.

Cała ta maszyna, ten przemysł, który wyrósł wokół Małpika Jasia, był wszechogarniający i powodował tak ogromną presję, że musiał zdusić każdą cząsteczkę mnie samego. Chodziło o życie i chleb innych, więc nie mo-głem ich zawieść. Nie chodziło poza tym o jakieś: „Bla, bla, bla poczucie wspólnoty, bla, bla, bla”, ale raczej o: „Jak to skrewisz, to popamiętasz” — co redukowa-ło mnie do stanu robota. Kazało chronić się pod grubą skorupą.

Spędziłem wiele czasu w różnych przypadkowych pokojach hotelowych na całym świecie, zastanawiając się, jak mogłoby wyglądać moje życie. Ale teraz byłem wolny. Miałem czternaście lat i mogłem decydować o tym, jakie-go życia pragnę dla siebie.

BRAK FRAGMENTU

Potrzebowałem czasu, żeby się zastanowić. Robiłem się coraz starszy, a tak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie, że nie miałem dotąd okazji tego wszystkiego prze-myśleć; nie pozwalałem na to sobie. Mniej więcej wtedy zacząłem pisać wspomnienia, wydawało mi się jednak, że to kiepski pomysł. Sama myśl o tym, że ktoś może przejść na emeryturę w wieku czternastu lat, jest już wystarczająco głupia; przypuszczać jednak, że życie mogło mi zagwarantować publikację wspomnień, kiedy dobię dwudziestki, wydawała się zupełnym absurdem. Rzuciłem więc cały ten projekt i rozpocząłem kolejny...

TOAST

Wznoszę toast za zagubionych kochanków.

Za przyjaciół i za na nowo narodzoną rodzinę, za nowe życie, które mam przeżyć. Za podejmowanie decyzji, za błędy, które mam popełnić, za te, które mam popełnić jeszcze raz, potem ich żałować i się z nich wycofywać. Za to, co mam stracić, i za to, czego mam nie odnaleźć. Za radość życia i za traumy, których, dzięki Bogu, mam uniknąć. Za myśli, za bezsenne noce, za myśli dręczące mnie w czasie bezsennych nocy. Za strumień zimnej wody z prysznica, którym będę witał każdy nowy dzień. Za szansę na miłość. Za mnie i za dwadzieścia lat, które zajęło mi powiedzenie tego. Za koniec toastu.